

Porywająca opowieść z nad morza chmur



J A C E K Ł U K A W S K I

Ślania

KRAINA MARTWEJ ZIEMI

SON
imaginatio

Jacek Łukawski

Gianca

Kraina martwej ziemi

Rocznik 1980, z zawodu grafik komputerowy. Udziela się na portalu www.fantastyka.pl. Niedawno debiutował powieściowo „Krwią i stalą”, pierwszym tomem „Krainy Martwej Ziemi”, adrenalinowej, przygodowej fantasy. Z kolei obecne opowiadanie to debiut autora na naszych łamach.

„Gianca” to niezależna fabuła, rozgrywająca się w realiach „Krwi i stali”, pokazująca, jak bogaty świat został wykreowany w debiutanckim cyklu Łukawskiego. Poza tym kto nie lubi historii o podniebnych piratach...? Zwłaszcza latem. (mc)

Pokład pod stopami drży przyjemnie, jak zawsze, gdy dziobowe żagle wypełnia ciepły, wznoszący prąd. Okręt przechyla się lekko, celując bukszprytem w biel cumulusa, a chłopcy chwytają się want i relingów, śmiejąc w głos. I ja zaciskam dłonie na barierce pokładu sterowego, na wszelki wypadek, gdyby nagły powiew wiatru poderwał dziób jeszcze wyżej, i śmieję się razem z nimi. Wracamy do domu!

Nazywam się Ark Olson, a mój ukochany okręt to „Gianca”. Wiem, że nie wygląda najlepiej, ale jak ma wyglądać, skoro przez ostatnie tygodnie co chwila do nas strzelano, próbowano spalić i porąbać? Ten rudy obok mnie, któremu się kopyta ślizgają i który klnie w swoim języku, to Czart, tam z dołu. Tak, dobrze myślicie – z samiuśkiego dołu! Na imię ma Darmopych i jest rozkaznikiem, prawą ręką swego pana. Tego samego, którego złoto udało nam się ukraść, a ludzi poturbować. Złoto! Rozumiecie? Prawdziwe, legendarne złoto, jak w tych bajkach, co nam matula opowiadała, do snu kołyszac. Złoto! Ono istnieje naprawdę, a my mamy je w ładowniach i – to wam się spodoba – będziemy mieć go dużo, dużo więcej! Patrzcie, jak sprawnie chłopcy wciągają kliwry. Znają się na swej robocie, a jakże! To najlepsza załoga, jaką możecie sobie wyobrazić. Dzielni i wierni – moi towarzysze, przyjaciele, bracia.

Co? A, tak, miałem nadzieję, że nie zauważycie. Zgadza się, sięgam ręką po linę. Po co? Tego nie da się tak wytłumaczyć w dwóch słowach. Drewno wibruje pod stopami, jeszcze trochę to potrwa. Może zdążę wyjaśnić, ale muszę zacząć od samego początku, bo nie chcę, byście mnie źle zrozumieli...

Urodziłem się na małej wyspie, jednej z wielu w naszym altostratusie. Szarosine chmurzysko, które przez lata leniwie płynęło po nieboskłonie. Pewnie, że wolałbym pochodzić z bielutkiego altocumulusa lub – czcze marzenia! – cirrocumulusa. Moi rodzice jednakże nie byli ani szlachetnie urodzeni, ani tak bogaci, by móc sobie pozwolić na luksusy, więc i mnie przyszło dorastać w warunkach, jakich się nie zazdrości. Oczywiście z początku wcale mi to nie przeszkadzało, bo i nie byłem świadom, że istnieje coś więcej niż nasza osada. Ganiałem całe dnie po podwórku za kłopotem, który pewnej jesieni spadł nam wycieńczony koło szopy, a po

odratowaniu postanowił pozostać na ubogim, acz pożywnym wikcie. Ptaszysko chyba lubiło te nasze zabawy, taką mam przynajmniej nadzieję.

Potem, gdy już podrosłem i podwórko stało się zbyt małe i zbyt nudne, zacząłem się potajemnie zapuszczać coraz dalej od domu. Pewnego razu wpadłem na swoją rówieśnicę z sąsiedztwa, z którą od razu próbowałem się zaprzyjaźnić, ciągnąc ją za warkocze. Zaraz jednak wziąłem nogi za pas, gdy zaalarmowani jej wściekłym wrzaskiem bracia wyskoczyli zza płotu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Uciekając, dobiegłem aż do portu, gdzie pracował mój ojciec.

Bąłem się buri za tak dalekie odejście od domu, lecz staruszek zamiast mnie skarcić, pogłaskał po głowie i pochwalił, że zmyślny jestem, choć tak mały. Przy wieczerzy stwierdził, że skoro znam już drogę, to mogę co dzień zanosić mu jedzenie. Matula, jak to kobieta, nie chciała wyrazić zgody, w obawie że się zgubię lub stanie mi się coś złego, lecz moja radość i twarde słowo ojca zwyciężyły. Tak więc od tego czasu zyskałem swoje pierwsze obowiązki.

Jakaż mi się wtedy nasza osada wydawała ogromna! Co rusz szukałem innej drogi do portu, zapuszczając się w coraz dalsze rejony. Na początku odnalazłem młyn, później kuźnię, a następnie dom cyrulika. Cóż to były za dziwy! Moja dziecięca wyobraźnia wręcz piała z zachwyty przy każdym takim odkryciu. Ojciec czasem musiał na mnie czekać, gdy błądząc, traciłem poczucie czasu, lecz nigdy mi słowa złego nie powiedział. Tak sobie myślę, że już wtedy czuł, że się do takiego życia nie nadaję, i cieszył się w duchu, że jestem wszystkiego ciekaw. Jakiś czas później znałem już każdy kamień, drzewo i pagórek w okolicy, a gdy nadeszły słoty, zacząłem zostawać w porcie, by staruszkowi pomagać.

Ojciec mój pracował na okrętach, ale nie jako marynarz. Po prawdzie to nie wiem, czy kiedykolwiek żeglował wśród chmur, nigdy go o to nie pytałem. Odkąd sięgam pamięcią, wchodził na pokład tylko tych statków, które stały na cumach lub zostały opuszczone na ziemię. Co dzień wspinał się po trapie uzbrojony w stare narzędzia i znikał pod pokładem, tam gdzie za opuszczonymi furtami drzemały burzowe pręty. Przez wiele dni czyścił je i konserwował, aż wreszcie działały jak nowe. Kochał tę pracę i znał się na niej jak mało kto. Ludzie mówili, że rozmawia z miedzią, że ją rozumie. Mówili, że nie ma tak starych gromników, żeby nie zmusił ich do dobrej roboty. To był jego żywioł, a w pewnym momencie stał się też moim.

Zdawało mi się wtedy, że już wszystko wiem, że odkryłem, co było do odkrycia, i że nic ponad to nie ma ważniejszego. Przeszło mi nawet przez myśl, by pójść w ślady ojca i jak on przywracać blask prętom burzowym. Krótco to jednak trwało, a wyrwał mnie z tych myśli sam ojczulek, któregoś dnia na początku wiosny prowadząc w głąb statku. Czemu to zrobił? Wtedy nie wiedziałem, a teraz tak sobie myślę, że może zauważył, iż iskra ciekawości we mnie wygasa i chciał ją czymś podsyć. Nie doceniałem, jak mądrym był człowiekiem.

– Patrzaj tu, szkrabie. – Wskazał konstrukcję, w której centrum znajdował się wielki kryształ, a mniejsze, różnobarwne, pięknie okute miedzią, zostały zawieszone wokoło na wahliwych ramionach. – To jest serce, które trzyma każdy okręt na niebie.

– Jakże to, tatko? – spytałem zdumiony.

– Ano, musisz wiedzieć, że nasza wyspa w swym wnętrzu też ma takie kamienie. Jak każda rzecz, która wędruje w powietrzu, jest wypełniona niemi kryształów. Ich moc, gdy są do siebie blisko przytulone, sprawia, że mogą się unosić w przestworzach. A wiesz, co jeszcze z ich mocy powstaje?

– Nie wiem, tatko.

– Płanety, szkrabie, to znaczy chmury, co otulają każdy powietrzny ład.

– Płanety – powtórzyłem jak echo.

– Właśnie tak. I dlatego myśmy są planetnikami, bo mieszkamy wśród planet.

– Ale tatko... – Zamilkłem przytłoczony pytaniami, które nagle pojawiły się w mojej głowie i zaczęły tańczyć niczym kolorowe ptaki, nie dając się uchwycić.

Ojciec położył mi dłoń na ramieniu i powiedział:

– Zbliża się czas targu, na który przybędzie wielu ludzi z innych wysp. – Zawahał się. – Pojawi się wśród nich także mój stary przyjaciel, co lepiej niż ja wyznaje się na tych wszystkich kryształowych sprawach. Jeśli więc będziesz chciał, mogę cię do niego zabrać. A teraz wracajmy do roboty.

Domyślacie się pewnie, że już o niczym innym nie marzyłem, tylko by zaraz nadszedł dzień targowy. Wnet straciłem zainteresowanie pracą i wkrótce grzecznie, acz stanowczo zostałem odprawiony spod pokładu.

Powtórnie więc miałem całe dnie dla siebie i starałem się zajrzeć w każdy wykrot wyspy, by wędrówkami zabić czas. Kilka razy wpadłem na tę smarkulę i znów pociągałem ją za warkocz, czekając, aż jej bracia zaczną mnie gonić. Potem drwiłem z nich, gdy opadali z sił, zostając w tyle – taką miałem zabawę.

Gdy wreszcie nastał czas targu i udaliśmy się z ojcem między kolorowe stragany, z całej siły ścisnąłem połą jego płaszcz, przerażony mnogością obcych ludzi i gwarem, jaki czynili. Przyjaciół, z którym zostawił mnie ojciec, miał tylko jedno oko, brodę sklejoną brudem i śmierdzącą. Co chwila zaglądał do butelki i mamrotał coś niezrozumiale; lecz gdy go zapytałem o kryształ, jego głos stał się pewny i pełen pasji.

Mężczyzna opowiadał o mocy kamieni, o bieli wszechkwarcu i o pozostałych kolorach. Rozprawiał o ich wzajemnej sile, o tym, które z nich powinno się do siebie zbliżać, by okręt wzbił się w niebo, i o takich, których należy unikać, bo są szkodliwe. Mówił o pokładach, na których przemierzał nieboskłon, o bitwach burzowych, które toczył, i tajemniczej wyprawie poniżej dna powietrznego, gdzie znajduje się świat dziwów. O powrocie stamtąd samotnym i skarbach nieprzebranych, z których go ograbiono. O wielu rzeczach wtedy mówił, których nie rozumiałem, lecz nie przeszkadzało mi to słuchać z otwartymi szeroko ustami. Wreszcie wrócił ojciec i opowieść dobiegła końca.

Gdy wracaliśmy do domu pod ciemniejącym niebem, podniecony opowiadałem, co udało mi się zapamiętać, aż w końcu starszy przerwał mi i wytłumaczył, że nie powinienem wierzyć w każde słowo jego przyjaciela, bo choć jest on zacnym człowiekiem, ma skłonność do fantazjowania. Zatem jego opowieści o kryształach i dalekich wyprawach były tylko banialukami, których mu gorzałka nabełtała pod czaszką...?

Banialuki banialukami, ale ten świat dziwów za nic mi nie chciał z głowy wyparować. W tajemnicy przed ojcem próbowałem nawet podpytać różnych ludzi o to całe dno powietrzne i jego przekraczanie, ale każdy tylko kręcił głową i mówił, że to nieprawdopodobne i nikomu się nie udało. Każdy jeden okręt, tłumaczyli, który osiadał na dnie, był już ostatecznie stracony. Wszechkwarc pod jego pokładem zaczynał buzować, lał wodą i bił piorunami, aż cały kadłub nie rozpadł się w drzazgi. Krzyczałem wtedy zły, że jest ktoś, kto spłynął poniżej, a gdy mówiłem, kogo mam na myśli, każdy się śmiał, jakbym opowiedział dowcip. Uciekałem wtedy czerwony ze wstydu i siadałem na krawędzi wyspy, wypatrując w dole dziwów, choć

dobrze wiedziałem, że srebrne promienie słońca, tańczące po dnie powietrznym, nigdy mi na to nie pozwolą. Co najwyżej mogłem więc karmić wyobraźnię jedynie zarysami dziwnych, odległych i niezrozumiałych kształtów, które z rzadka pojawiały się między świetlnymi rozbłyskami. Bardzo przy tym musiałem uważać, bo rodzice surowo mi tego zabraniali – bali się, że wypadnę za krawędź.

Naturalną kolejną rzeczą jest przechodzenie z wieku dziecięcego w młodość, a dopiero potem w dojrzałość. Powinno to iść jak słońce po nieboskłonie: płynnie i miękko. Mnie jednak co innego było pisane.

Zaczął się od zmiany. Gdy po raz kolejny napadłem na smarkulę z sąsiedztwa i pociągnąłem ją za warkocz, nawet nie jęknęła. Zdziwiony, zrobiłem to znowu. Zamiast krzyknąć, spojrzała na mnie z błyskiem w oku i nim się spostrzegłem, sięgnęła ku mojej czuprynie. Pisałem zaskoczony, na co ona wybuchła śmiechem, jakby mało mi było wstydu. Nim jednak zdążyłem się odwrócić i uciec, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę pobliskich zarośli. Spodziewałem się tam jej braci i łomotu, jaki niechybnie mi spuszczą, lecz było mi już wtedy wszystko jedno. Dałem się zaskoczyć i w dodatku zapiszczałem jak dziewczyna – należało mi się. W zaroślach jednak nikt nie czekał, za to w małych, równych dołkach ujrzałem fantazyjne mozaiki ułożone z polnych kwiatów.

– Piękne – powiedziałem zupełnie szczerze. – Ty to zrobiłaś?

Pokiwała głową, a gdy rumieniec zaczął wypełzać na jej twarzyczkę, odwróciła się i uciekła, nim zdążyłem zareagować.

Od tego dnia zaczęliśmy spędzać ze sobą coraz więcej czasu. Oczywiście potajemnie, by nie przyłapali nas ani rodzice, ani jej bracia. Ona pokazywała mi swoje mozaiki, a ja w zamian zabierałem ją w miejsca, które odkryłem, i opowiadałem o wszystkim, co mi ślina na język przyniosła. Najbardziej lubiła słuchać o okrętach, dalekich wyprawach i tajemniczych krainach. Siadaliśmy na krawędzi wyspy, na pochylonym gładzie, gdzie godzinami snułem opowieści. Gdy skończył mi się repertuar przygód staruszka z butelką, wymyślałem swoje, byle tylko sprawić jej przyjemność.

Dni mijały, a ja myślałem tylko o niej, zupełnie nie zauważając, że wszyscy w koło stali się dziwnie nerwowi i coraz częściej spoglądali w górę, na przesuujące się kadłuby okrętów. W równym szyku odpływały ku północy, by powracać pojedynczo ze strzaskanymi masztami, opalonymi burtami i strzępami żagli.

Ojciec pracował coraz dłużej, często nocował pod pokładem, aż wreszcie wezwał mnie do pomocy, nie mogąc dać sobie rady samemu. Port zmienił się nie do poznania. Powietrze wypełniał smród spalenizny, dostrzegłem mnóstwo uszkodzonych okrętów, wszędzie roило się od obcych, podejrzanie wyglądających ludzi. Wkrótce po raz pierwszy w życiu ujrzałem, jak z przechylnego pokładu znoszą zabitych i rannych.

Tej nocy nie mogłem zmrużyć oka, prześladowany widokiem wykrzywionych, upiornych twarzy i ciał pokrytych krwią. W głowie szumiało mi jedno słowo, które naraz dało się słyszeć zewsząd: wojna!

Pierwszy dzień lipnia przyniósł odległy pomruk gromów. Daleko na horyzoncie kłębiły się ciemne chmury, co rusz rozjaśniane bijącymi wewnątrz błyskawicami. Pierwszy raz bitwa toczyła się tak blisko nas. Wokoło zapanował nieopisany rwetes. Gdy część okrętów ruszała na pomoc walczącym, załogi innych szykowały się do ucieczki. Ojciec kazał mi się ukryć w starej szopie i pobiegł pod pokład, by uruchomić pręty burzowe w kolejnej jednostce, która mogła włączyć się do walki.

Tuż przed południem wyszło na jaw, że w porcie nie ma dość wody i prowiantu, by zaopatrzyć wszystkie okręty. Nikogo nie obchodziło, że kontyngenty od dawna już nie docierały, a spichlerze świecą pustkami. Polala się pierwsza krew, a wkrótce rozruchy objęły cały port.

Ogarnięci szaleństwem ludzie wyrwali sobie beczki, worki, a nawet pojedyncze bochny chleba. W ruch poszły pałki, noże i kordy. Garstka lojalnych żołnierzy, która była jeszcze na miejscu, wycofała się na swój statek, broniąc doń dostępu i nie pozwalając, by ktokolwiek go opuścił. Dygocząc ze strachu, patrzyłem przez szparę między deskami, jak ojciec bezskutecznie próbuje przecisnąć się przez ich kordon, a widząc, że to niemożliwe, daje mi znaki, bym pozostał w ukryciu.

Marynarze, którzy jeszcze niedawno, otoczeni opieką przez miejscowych, wracali do zdrowia, teraz mordowali ich z zimną krwią, by wyszarpać z drętwiąjących rąk kawałek kiełbasy lub butelkę piwa. Patrzyłem, jak piekarz, co zachodził do nas od święta, osuwa się na ziemię z rozpiętą głową, jak bednarza przebijają ostrzem, a z jego żony zrywają ubranie. To było dla mnie zbyt wiele.

Przestałem sobie zdawać sprawę, gdzie się znajduję i co się wkoło dzieje. Zupełnie jakbym śnił duszny i ciężki sen, w którym niezrozumiałe obrazy przewijają się przed oczami i stanowią jedynie odległe tło, a głowę rozsadza jedna myśl: do domu! Nie pamiętam, jak wydostałem się z szopy i jakim cudem udało mi się przedrzeć wśród szalejącej pożogi na drogę do wioski. W pamięci mam tylko widok szamoczącej się nagiej kobiety, na której szyi zaciskają się czyjeś zakrwawione dłonie, a potem chłód liści przylegających do mojej twarzy. Krzaki, przydrożne, gęste krzaki i głos tego człowieka:

– Hyżo! Tam se kurew jaką weźmiemy, kmiotkę wszeteczną!

– Byle młódkę jaką jędrną – rehot przemienił się w cherlanie.

– Bier, co znajdziesz, byle szybko, bo ruszać trza, nim inni odejdą i się wojaki znów panoszyć zaczną.

– Chwila – pierwszy głos zabrzmiał władczo – niechaj Gynter szczać skończy, i jemu się należy.

Do domu!

Skoczyłem, nie oglądając się za siebie. Niezrozumiały krzyk pozostał za moimi plecami. Nie wiem, czy ktokolwiek próbował mnie gonić. Do domu!

Pierwsze zabudowania, kilka kobiet i gromada dzieciaków patrzących z zaciekawieniem w stronę portu. Otrzeźwiałem nagle, gdy między nimi dostrzegłem dwa złote warkocze. Podbiegła, śmiejąc się.

– Co tam się dzieje, Arku Olsonie, co tatusiowie w porcie robią? – Pociągnęła mnie za rękaw, a inni spoglądali z zaciekawieniem, czekając na to, co powiem.

– Walka! – krzyknąłem łapiąc dech. Niebawem, musiałem dotrzeć z wieściami pierwszy! – Musicie uciekać!

– Cóż znowu wymyślasz? – spytała gniewnie jedna z kobiet.

– Biją się, mordują!

Spojrzeli po sobie niepewnie.

– Bujdy opowiadasz – skrzywiła się, a inne pokiwały głowami. – Bitka może w powietrzu, ale przecież nie u nas. Toć widzę, że ku nam mężowie jacy idą i larum żadnego nie robią. Pewnie pożar znów stary kuternoga wznicił i teraz gaszą zawzięcie, jako zeszłej zimy.

– Uciekajcie! – wrzasnąłem, machając rękami.

– Nie strasz, bo się jeszcze dzieciaki pobeczą – ofuknęła mnie ciotuchna, co wzbudziło zachwyt wśród młodej gawiedzi.

Piegus od młynarza cisnął we mnie ogryzkiem. Powiodłem wzrokiem po dobrze znanych twarzach i zacisnąłem pięści. Dobrze więc – pomyślałem – sami tego chcecie. Ale nie ona. Chwyciłem ją za wiotkie dłonie i patrząc w oczy, wyjęczałem:

– Uciekaj, proszę!

Po chwili ktoś mnie przedrzeźnił, wzbudzając salwę śmiechu.

– Arku Olsonie – wyrwała się speszona – ciotki mówią, że...

– Błagam, posłuchaj mnie i uciekaj! – Odwróciłem się, dostrzegając sylwetki na drodze. – Uciekaj!

– Nigdzie nie pójde – Cofnęła się, rumieniąc. Już wiedziałem, co muszę zrobić.

– Wstydzisz się, prawda? – spytałem przez zaciśnięte zęby, a gdy pokiwała głową, wałnąłem ją pięścią prosto w nos, aż bryznęła czerwona krew. – To wstydz się bardziej!

W ciszy, która nagle zapadła, rozdzierający szloch zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Podniosła się z ziemi, drżąc ze strachu i bólu, i z płaczem ruszyła biegiem w kierunku domu.

– Hej tam, panienki! – oblesny głos rozległ się całkiem blisko.

Skoczyłem w ślad za dziewczyną, nie oglądając za siebie nawet wtedy, gdy krzyki zmieniły się w piski i jęk.

Wieczorem było już po wszystkim.

Port spłonął niemal doszczętnie, a większą część mieszkańców wioski trzeba było oddać bogom. Z grupy, którą starałem się ostrzec, uratowała się tylko trójka. Reszta została albo uprowadzona, albo zabita. Moi rodzice? Ten dzień przeżyli oboje, lecz nie znaczyło to doprawdy nic.

Matka tuliła mnie do piersi, nie puszczając, póki w środku nocy do domu nie powrócił ojciec. Od progu krzyknął, że mamy się pakować, bo zabiorą nas na pokład statku. Dokąd? Nie wiedział i nie miało to znaczenia. Wciąż myślałem o niej i o tym, co zrobiłem. Matula zawsze mi powtarzała, że dziewczynkę się nie bije, że to jest złe. Było mi wstyd, że tak nie myślę, że zrobiłbym to jeszcze raz. Czułem się jak zdrajca, który zdradził wszystkich wokoło, a jednocześnie cieszyłem się, że uciekła, że nikt nie zrobił jej krzywdy. Nikt prócz mnie.

Wstawał świt, gdy targając ciężkie tobołki, wkroczyliśmy między czarne od sadzy zgłiszcza. Szliśmy wprost ku przystani, na której nikt już na nas nie czekał.

– Nadlatują – wyszeptała matka.

Bure kadłuby powiększały się wolno, zbliżając się do ruin portu, a wysoko ponad naszymi głowami, w śnieżnobiałym cirrocumulusie, wykwitły jasne błyski gromów i purpurowe świetliki pożarów. Co się wtedy wydarzyło? Prawie nie pamiętam. Czasem tylko w snach widzę strzępy obrazów, gdy uciekamy. Jacyś obcy ludzie biegną w naszą stronę, krzycząc coś niezrozumiale. Lament wznosi się ku niebu. Mocne kopnięcia wyważają drzwi. Kobiety krzyczą szarpane. Mężczyźni padają martwi. Oczy matki zachodzą mgłą, a z ust leje się krew. Ktoś śmieje się głośno. Pękają wyrzucane na dwór meble. Trzeszczy ogień. Złote warkocze podskakują. Gałęzie uderzają mnie w twarz. Patrzę w załzawione oczy i opuchnięty nos. Stoimy na pochylonej skale.

Gdybym mógł wybrać, to wołałbym, aby niepamięć zawładnęła tym, co miało nastąpić, a nie tym, co już było. Bogowie jednak woleli, bym z tamtej chwili zapamiętał każdy szczegół. Chłód kamienia pod bosymi stopami, zapach niesiony przez wiatr, łzy płynące po policzkach.

– Boję się, Arku Olsonie – szepnęła, łapiąc mnie za rękę, gdy stanęliśmy na krawędzi.

– Ja też – powiedziałem cicho, słysząc zbliżającą się pogoń.

– Pamiętasz, jak mówiłeś o ludziach tam, w dole? – Jej małe usta drżały. Kiwnąłem głową. – Myślisz, że u nich tak się nie dzieje?

– Tak myślę – skłamałem.

– Nie chcę, by mnie złapali, nie chcę, słyszysz?! – Spojrzała w dół i jej ciałem szarpnął kolejny spazm. – Nie ma już maaamyyyy!!!

Chciałem ją przytulić, ale nie pozwoliła. Zamiast tego otrząsnęła się nagle i spojrzała mi prosto w oczy.

– Chcę tam iść, tam, gdzie mi opowiadałeś.

– Ale... – Słowa uwięzły mi w gardle. Nawoływania były coraz bliżej.

– Chcę to wszystko zobaczyć, ale nie umiem. Pomóż mi, proszę...

– Gianca... – szepnąłem.

– Pierwszy raz wymówiłeś moje imię. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję ci, Arku Olsonie. A teraz proszę pomóż mi!

– Nie! – Cofnąłem się.

– Proszę.

Zamknęła oczy. Tuż za mną ktoś krzyknął wściekle, ktoś inny zarechotał. Skoczyłem do przodu i pchnąłem jej drobne ciało.

Uśmiechnęła się i nie unosząc powiek, zniknęła za krawędzią.

Przez ułamek sekundy wahałem się, po czym rzuciłem w ślad za nią. Za późno. Szorstki powróż zacisnął się na mojej szyi i mocne szarpnięcie zabrało świadomość.

Wzięto mnie w niewolę. Razem z innymi przez wiele dni tłoczyliśmy się pod pokładem, w smrodzie i cierpiący głód. Obce twarze, na których malował się taki sam strach, zlewały się w jednolitą burą masę.

Pamiętam, że droga na targ niewolników wiodła ulicą dużego miasta. Wybielone fasady domostw, rzeźby na cokółach i obszerny, gwarny plac, gdzie upchnięto nas w klatki. Ci, za których nikt nie chciał zapłacić, na koniec dnia mieli zostać zabici, więc każdy prężył się i przekrzykiwał pozostałych, starając się wzbudzić zainteresowanie kupujących. Każdy prócz mnie. Mnie było wszystko jedno.

Może właśnie dlatego zwrócił na mnie uwagę pewien mężczyzna. Długo patrzył mi w oczy, a w końcu sięgnął po sakiewkę.

Trafiłem na statek, gdzie z marszu kazano mi szorować pokład. Szorowałem więc, nie oglądając się na nic i na nikogo. Moje ruchy były monotonne, myśli błądziły daleko, więc dziwię się, że nikt nie porachował mi kości za kiepską pracę. Cóż, czasem bogowie są dla nas łaskawi.

Otrzeźwienie przyszło kolejnego dnia. Tupot bosych stóp, szczekliwe komendy i chrzęst broni sprawiły, że rozejrzałem się wokoło, jak gdyby zbudzony z dusznego snu. W samą porę, by uniknąć kopniaka.

– Pod pokład, smarku! – warknął mój kupiec, którego głównym zajęciem była troska o to, by zapełnić ładownie dowolnym towarem, jaki przy pierwszej sposobności mógł zmienić w kryształową walutę. Był piratem i cenił sobie tę profesję ponad wszystkie inne.

Pękata krypa próbowała ujść przed nami w górną partię obłoków. Bezskutecznie. Kryjąc się w dusznym składziku, słyszałem dochodzące z zewnątrz odgłosy walki, które szybko zmieniły się w błagania o litość, a

następnie w skrzypienie lin i bloczków. Gdy pozwolono mi wyjść, ograbiony statek dryfował już daleko za rufą.

To zabawne, że najlepiej pamięta się zawsze ten pierwszy raz, nieważne, czego by dotyczył. Gdy zamknę oczy, potrafię zobaczyć beczkowaty kształt tamtego kadłuba i purpurę łopoczących na wietrze żagli, jak gdybym miał je przed oczami wczoraj. Słowa za to nie powiem o żadnym z kolejnych, które stanęły na naszej drodze, a było ich mnóstwo.

O tak, nie próżnowaliśmy. Wciąż w powietrzu, wciąż szukając celu, aż ładownie wypełniły się po brzegi, a wtedy zawijaliśmy do portów, by sprzedać towar. Część zarobionych w ten sposób kryształów była rozdzielana między załogę, a resztą dysponował kapitan. Najczęściej staliśmy wtedy na cumach przez dzień czy dwa i mieliśmy czas, by zrobić użytek z tego bogactwa, trwoniąc je bez pamięci w karczmach i zamtuzach, więc gdy ponownie wzbijaliśmy się w powietrze, większość sakiewek znów okazywała się pusta.

Z początku było mi okrutnie ciężko, bo głowa pękała od wspomnień, lecz z biegiem czasu nauczyłem się zacierać je w pamięci. Chować w odległych zakamarkach i zasypywać świeżymi przeżyciami, aż wreszcie zamilkły zduszone. Nie stało się to rzecz jasna ot, tak, z dnia na dzień. Przez pierwsze tygodnie byłem pośmiewiskiem, gdy co rusz łapano mnie na płaczu lub zamyśleniu tak silnym, że wyrывał mnie z niego dopiero kopniak lub kuksaniec. Przez to zamykałem się w sobie jeszcze mocniej. Na szczęście bogowie się nade mną ponownie zlitowali, zsyłając w nasze szeregi zdradę. To była ta chwila, gdy znów stałem nad przepaścią, gotów w nią skoczyć, i coś musiało mnie przed tym powstrzymać.

Zdrajcą okazał się sternik, który doniósł na nas w jednym z portów, licząc na wór kryształów. W zamian skrócili go o głowę, a przeciw nam posłali okręt wojenny. Przetrwaliśmy pierwsze starcie, ponosząc przy tym duże straty, ale zadając równie wielkie. Ugasiliśmy ogień szalejący na pokładzie, lecz uszkodzone pręty burzowe nie chciały się dobrze wysunąć i przeważały na jedną stronę statku. W dodatku część obsługujących je ludzi zginęła, gdy jeden z piorunów rozpruł pokład bojowy. Zdołaliśmy się jednak schować w szarym altostratusie, który zamaskował naszą planetę, dając nam trochę czasu. I wtedy właśnie przyszło na mnie opamiętanie.

Zadziałąłem odruchowo, wiedząc przecież, z czym mam do czynienia i jak to działa. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, odgruzowałem łączenie pierwszego z prętów i rozplątawszy miedziane przewody, zdołałem

wypchnąć go przez furkę, aż koniec zaiskrzył jak należy. Zaraz skoczyłem do kolejnego i następnego, aż wszystkie gromniki znalazły się na swoich pozycjach.

– Dobra robota, dzieciaku... – Nad gretingiem pojawiła się osmalona twarz kapitana. – Pierońsko dobra robota!

Wieczorem, po bitwie, gdy uchodziliśmy, zostawiając za rufą płonące truchło, nikt już nie patrzył na mnie inaczej jak tylko z uznaniem. Tego dnia przestałem być chłopcem do bicia, a stałem pełnoprawnym członkiem załogi. Tak wszedłem w nowy rozdział naszej powietrznej historii, gdy po uzupełnieniu załogi wyruszyliśmy byle dalej od tych ventusów, gdzie już zbyt dobrze nas znano.

Nieraz w kubryku podlewaliśmy alkoholem legendy i bajdy. Traf chciał, że pewien stary wiarus, co to na niejednym pokładzie pot wylewał, lubił bajać o wyśnionych krainach, które mogą się znajdować pod dnem powietrznym, i o złocie, co swym blaskiem i wartością każdy kryształ przyćmiewa. Śmiali się wszyscy na te fantasmagorie, w które i on, zdawało się, wątpił, traktując je jedynie jako opowieści do kufła.

Domyślcie się pewnie, że mnie to poruszyło i chciałem się dowiedzieć wszystkiego. Wtedy nie byłem nawet pewien, czy robię to z prawdziwej ciekawości, wierząc, że pod dno naprawdę da się dotrzeć, czy było to tylko echem mojego poprzedniego życia, za którego burtę wypadłem, a opowieść ta zdawała się liną – ostatnim, co mnie z nim łączyło. Marynarz nazywał się Olawson Gult i musiały minąć dwa lata, by mi zaufał i zechciał porozmawiać bez oporów.

A było o czym, wierzcie. Pod knajpianą gawędą kryła się moc szczegółów, jakie Olawson usłyszał z ust człowieka, co żeglował poniżej dna. Sześć lat służył z nim na jednym pokładzie, nazywając przyjacięciem, aż do momentu, gdy poróżnili się o coś i zadźgał go w kubryku. Ponoć przypominałem mu tego człowieka i tylko dlatego postanowił opowiedzieć mi o tajemniczych kryształach, mieniących się kolorem indygo przeplecionym srebrnymi żyłkami. Kryształy te, gdy je przycisnąć do wszechkwarcu, pozwalały ponoć przekroczyć dno powietrzne.

W pobliżu nie powinno być wtedy nikogo, bo tak mocno skwierczą, tracąc swą wielkość, że może to okazać się niebezpieczne. Ba! Krzywo je dokładając, na wszystkich wokoło można ściągnąć zgubę, bo gdy moc przez nie popłynie nie tak, jak powinna, to wszechkwarc może się rozpęknąć, a wtedy już nic nie da się zrobić. I ze statkiem, i

wszechkwarcem; dotychczas wydobyto go w kilku tylko miejscach, a złoża wyczerpano do cna, więc kosztuje majątek i diablo trudno go zdobyć.

Olawson opowiedział mi historię szalonego władcy, który ogarnięty obsesją przedostania się poza dno powietrzne, ściągał do siebie tęgich mędrców. Ci głowili się nieustannie i w końcu wymyślili, jak to zrobić. Podjęto pięć prób, z których trzy zakończyły się rozpęknięciem wszechkwarcu, posyłając okręty ku zgubie. Lecz dwa razy udało im się spłynąć poniżej dna i powrócić. Ze złotem! Ha! Właśnie tak! Szkoda, że po raz szósty ta sztuka się nie udała.

Czemu? Zabrakło kryształów, a gdy chcieli je zdobyć, atakując odległą wyspę, ponieśli klęskę. Oblakany władca, świadom, że jego wojska zostały rozbite i lada chwila zostanie zaatakowany w odwecie, kazał wszystkich swych ludzi wymordować, by nikt nie zdradził tajemnicy, wkrótce zresztą sam też żywot swój zakończył. Ponoć jedynie przyjaciel Olawsona uszedł z życiem, ale jak – tego nie zdradził.

Wiem, brzmi to jak bujda pijaczyny, którą karmi naiwnych. I ja byłem sceptyczny wobec tych rewelacji. Ale wiecie, jak to jest, gdy serce wiek męski szturmuje i człowiek wierzy, że każdej gwiazdy dosięgnie, jeśli tylko stanie na palcach. A mnie przecież jeszcze coś więcej ku temu pchało. Echo odrzuconych wspomnień okazało się najlepszą pożywką, więc przysięgłem sobie, że na głowie stanę, a pod dno zajrzę. Był dwudziesty pościernika. Zapamiętałem tę datę, bo wtedy, oby ostatni raz, znów stanąłem na rodzinnej wyspie.

Nie było już śladu po mojej wiosce, a tam, gdzie stał nasz dom, zastałem wielką dziurę, skąd wydobywano poślednie kryształy. Wszystkie okoliczne drzewa wycięto, a urobek gwarkowie sypali na hałdy. Krajobraz zmienił się nie do poznania i tylko skała na krawędzi pozostała nieruszona. Ta sama, na której często siadywałem, by najpierw samotnie, a potem z Giancą spoglądać w dół.

Ta sama, na której widziałem Giancę po raz ostatni.

Nie było łatwo, lecz nim minęły cztery kolejne lata, dumnie stanąłem na pokładzie sterowym i spojrzałem na swój własny okręt. Załogę mustrowałem, starając się wybrać co lepszych i doświadczonych marynarzy, takich, którym robota szła wyśmienicie i byli godni zaufania. Ile

żeśmy okrętów ograbili, szczęśliwie uchodząc z każdej matni! Ile skarbów nasze ładownie widziały, ile dziewczek na pokład braliśmy! A gdy tylko się o nas zaczynało robić głośno, wnet wyznaczałem kurs ku odleglejszym planetom.

Załoga cieszyła się, że sprytnie na zysk polujemy, odwiedzając tak odległe wyspy. A ja, po prawdzie, wszystko podporządkowałem swemu celowi i tak się starałem planować, by kabzę nabijając, jak najwięcej języka zasięgać.

Skrycie odwiedzałem różnych mędrców, by o tajemnicze kryształy zapytać. Krnąbrnych oprowałem kozikiem, żeby sprawy mej nie zdradzili, a życzliwym sowicie płaciłem. Jak płodne były to starania, niech zaświadczy to, iż długo przed tym, gdy trafiłem na trop niebieskiego minerału, już wiedziałem, jak się dostać pod dno bez jego pomocy. Ba! Nawet udało mi się poczynić pewne próby zakończone sukcesem.

Brałem szalupy z napadanych okrętów i za ich pomocą prowadziłem badania. W odpowiedniej chwili wystarczyło odpowiednio odsunąć każdy jeden kryształ od wszechkwarcu, tak by ich moc na się nie oddziaływała, dzięki czemu kadłub bezwolnie leciał w dół, jak gdyby dna powietrznego w ogóle nie było.

Głęboko wierzyłem, że pod dnem da się na powrót uzyskać siłę kryształów i nie zgubić okrętu. Wszystko opierało się na precyzji, by każdy z nich w tym samym czasie znów został zbliżony ku wszechkwarcowi. W tym celu skonstruowałem specjalne ramiona, które razem się odchylały i potrafiły wspólnie powrócić, gdy się pociągnęło za dźwignię. Rzec więc można, że byłem gotowy i brakowało mi jedynie ostatniego elementu, by okręt swój wraz z załogą poprowadzić ku nowym krainom.

Czas płynął nieubłaganie, a niebieskie kryształy widziałem tylko w snach. Z miesiąca na miesiąc rosła moja frustracja, coraz trudniejsza do zniesienia. Załoga musiała mnie unikać, gdy ze zmarszczonym czołem przechadzałem się po pokładzie, szukając, przyznaję, pretekstu do jakiejś awantury. Kilka razy straciłem czujność, obierając cel, lecz bogowie byli łaskawi i pozwolili nam ująć z życiem... a przynajmniej większości z nas. W końcu ludzie zaczęli szemrać, że zysk nam się kurczy, a kapitan popada w obłęd. I pewnie gdyby trwało to jeszcze trochę, na pokładzie wybuchłby krwawy bunt, lecz co innego nam wszystkim było pisane.

Podeszli nas od bakburty. Cztery okazałe okręty wojenne wynurzyły się w blasku księżyca z bladej planety, wraz z którą dryfowaliśmy od dwóch

dni. Wzięli nas z zaskoczenia. Naraz dostrzegłem podniesione furty, wysunięte gromniki, po których zaczynały już pełgać blade języki błyskawic, i oddziały abordażowe tłoczące się przy burtach. Otrzeźwiałem na ten widok, który zastał mnie na śródokręciu, i skoczyłem biegiem ku sterowi, krzykiem alarmując załogę.

Na nic to się zdało, bo raz, że większość moich ludzi spała, a dwa, że wszystkie żagle mieliśmy opuszczone. Otoczyli nas i mając jak na dłoni, mogli upiec jak skwarę. Jeszcze przez myśl mi przeszło, że lepiej dać się zarżnąć w bezpośredniej walce, niż zginąć w płomieniach, gdy rozległ się gromki głos:

– Nie podnosić furt, jeśli wam życie miłe, i czekać bez głupot we łbie!

Posłuchaliśmy, bo cóż innego nam pozostało? Patrzyłem, jak spuszczały szalupę i zmierzają w naszą stronę. Wolno stanęli przy burcie i weszli na pokład.

Było ich trzech, odzianych w mundury z obszlegami i strojnych w wysokie czapy, co nijak mi do żeglarstwa nie pasowały, ale im, widać, to nie przeszkadzało. Jeden postąpił ku mnie i wysunął przed siebie dłoń. Zawirowało mi w głowie, gdy ujrzałem na niej błękitny okruch poprzecinany srebrnymi żyłami.

– Pan Pięciu Płanet po więcej zaprasza. Trzymać się za nami i nie zbaczać z kursu – to powiedziawszy, odwrócili się na pięcie, by wrócić na swój okręt.

Tak oto nie ja odnalazłem to, czego szukałem, ale sam zostałem odnaleziony.

Wkrótce dotarliśmy w najwyższe partie chmur, skąd ponad zielen drzew wyrastały bajeczne mury i wieże ogromnego miasta – siedziby Hargadona Mardaneusa y Tarvelna. Wprost z pokładu zostałem zaprowadzony przed jego oblicze, by rozmówić się wedle jego oczekiwań.

Na wstępie wyjaśnił mi, że doszły go słuchy, czego poszukuję i że spuszczam statki ku ziemi. Nieco mnie to zbiło z tropu, bo wydawało mi się, że zachowuję należyta dyskrecję. Widać byłem bardziej nieostrożny, niż chciałbym przyznać. Następnie spytał mnie, czy istnieje jakiś związek między tymi dwoma rzeczami, a gdy przecząco pokręciłem głową, roześmiał się serdecznie. Wedle jego słów byliśmy winni piractwa na jego ventusach, złupienia kilku statków i innych przestępstw, których nie musiał nawet wymieniać, bo już za pierwsze groziła nam śmierć.

– Tym samym – oznajmił – twój okręt, jego ładownie, twoi ludzie i ty sam należycie do mnie. Statek każę rozebrać, a was od razu pozbawię żywota, tak by się gawieź mogła nacieszyć. Chyba że... – zawiesił głos, wyraźnie rozbawiony – ...pomożesz mi w pewnej wyprawie, co, jak mniemam, wielce zadowoli i mnie, i ciebie.

Pan Pięciu Płanet, jak się okazało, od lat wielu próbował odkryć drogę do dolnych krain, gdzie, jak wierzył, czekały na niego nieprzebrane bogactwa. Ponoć odnalazł o tym wzmianki w przedwiecznych manuskryptach i tak jak ja popadł w obsesję. Rozpaliła się ona szczególnie mocno, gdy przed kilkunastoma laty jacyś głupcy zaatakowali jego ziemie. Jeden z jeńców, nim wyzionął ducha, opowiedział, że był na pokładzie okrętu żeglującego poniżej dna. A teraz Pan Pięciu Płanet usłyszał o mnie.

Nie było sensu dłużej się wypierać i szybko doszliśmy do porozumienia. Władca oznajmił, że użyczy mi jeden z kamieni, bym mógł ustalić, czy naprawdę podróż i powrót są możliwe. Aby nie tracić na próżno cennego minerału, mieliśmy do tego obejrzeć krainę w dole, by załogi kolejnych okrętów wiedziały już, na co się muszą szykować i czy wyprawy są warte zachodu. W zamian Hargadon obiecał, że zwróci nam wolność i pół tego, co przywieziemy w ładowniach, i że jeszcze dołoży coś od siebie.

Zaproponowałem, by najpierw posłać szalupę, w ten sposób oceniając bezpieczeństwo i celowość działań, lecz pokręcił głową – uznał to za marnotrawienie cennego minerału, którego przecież musiało wystarczyć dla kolejnych ekspedycji. W swej wspaniałomyślności pozwolił mi wybrać, czy podejmę się tego zadania, czy też wolę wraz z ludźmi zginąć za swoje pirackie sprawy. Nie miałem więc wyjścia, lecz nawet gdybym miał, to przecież i tak bym się zgodził.

Przygotowanie okrętu zajęło nam tydzień. W rurze, specjalnie umieszczonej nad jego sercem, na łańcuszku, który przyszykowali najlepsi metalurdzy Hargadona, zawiesiłem wreszcie błękitny kryształ. Poza tym gruntownie sprawdziliśmy stan wszechkwarcu i wszystkich pozostałych kamieni. Każde łączenie oszlifowałem własnoręcznie, zbadałem okucia i naoliwiłem ramiona. Przy okazji odmalowaliśmy cały okręt, zakrywając jego starą nazwę, a w zamian malując na burtach imię „Gianca”. Tak – Gianca, która poszybowała ku dolnym krainom... którą sam tam posłałem.

Miałem rację! Po odłączeniu kryształów okręt runął gwałtownie, z łatwością przekraczając dno powietrzne, a gdyśmy się znaleźli dużo niżej, na powrót dostawiłem ramiona do wszechkwarcu i już po chwili pod naszą stępką poczęła się tworzyć biała planeta, a statek przestał opadać!

Wbrew nakazom Pana Pięciu Płanet wydałem rozkaz, by ruszać z powrotem. Jeden z oficerów, którego musieliśmy zabrać ze sobą, a który nie rozstawał się z czapką, zaraz zaczął podnosić larum, lecz szybko go ludzie uciszyli, tłumacząc, że pan jego jest daleko i ja tu wydaję rozkazy. Zgodnie z przewidywaniami dotarliśmy do pułapu, którego przekroczyć się nie dało. Dopiero gdy ku wszechkwarcowi opuściłem znów ostrożnie błękitny kamień, kadłub drgnął, wznosząc się ospale.

To mi wystarczyło. Spokojnie już mogłem się szykować na badanie nieznanych krain, pewien, że zdołamy wrócić.

Czasu już nie ma, by wam opowiedzieć ze szczegółami, cośmy tam na dole widzieli, skupię się więc na najważniejszym. Najpierw znaleźliśmy się nad bezkresną połącią. Jak okiem sięgnąć, pokrywały ją szumiące trawy i wnet poczuliśmy ich dziwną woń. Nie bardzo wiedząc, co czynić, wytyczyłem kurs ku odległym góróm, bo łatwo pozwalały nawigować. Kolejnym dziwem była wodna wstęga. Płynęła i płynęła, wcale się nie kończąc – niepojęte!

Żeglowaliśmy wzdłuż niej i wkrótce ujrzelśmy ludzkie osady. Bogowie mi świadkiem, że niejednemu z nas spłynęła łza po policzku, bo w tych kurnych chatkach, lepiankach i szałasach ujrzelśmy własne dzieciństwo. Toż tu jak i u nas budowano sioła: z drogą, co je przecina, ze studnią pośrodku i wznoszącym się dymem z palenisk. Dzieci ganiały się, piszcząc i śmiejąc tak głośno, żeśmy je słyszeli na pokładzie, a starsi albo robili w polu, albo zajmowali się swoimi sprawami.

Wnet ujrzelśmy kolejne skupiska – co rusz wyłaniały się spośród traw i drzew, kamieni, jezior i łączących je wodnych nici. W pewnym momencie mógłbym przysiąc, że ujrzałem siebie samego, jak biegnę z Giancą po łące, by w sobie tylko znanej kryjówce snuć opowieści. Lecz nie, to nie byliśmy my, tylko zupełnie inne dzieci z innego świata, które nigdy nie widziały latających wysp. A mimo to niczym się od nas nie różniły!

O bogowie, zaprawdę piękny świat żeście stworzyli, wszędzie gdzie palce wasze ziemi dotknęły!

Szkraby wnet skryły się w gęstwinie, lecz długo jeszcze patrzyłem w ślad za nimi. Czapmistrz, jak w duchu przezwalem oficera Pana Pięciu Płanet, zrugął mnie, że nie sprawdzamy, czy w mijanych wioskach nie ma niczego cennego. W prostych słowach wytłumaczyłem, że i stąd widać, iż pod dostatkiem mają tylko biedy i strachu, jaki w nich wzbudzamy, więc będziemy szukać gdzieś dalej. Nie upierał się i odszedł do swych spraw.

Aż do samych gór nie dostrzegliśmy nic prócz niewielkich osad, więc postanowiłem przeciąć okryte bielą szczyty. Zwinęliśmy żagle, by po nocy nie zapędzać się w nieznane i niebezpieczne rewiry. Pozwoliłem otworzyć beczkę wina w kubryku, a sam zaszyłem się w kajucie, by zapisać wszystko, co do tej pory widziałem. Kolejnego dnia usiadłem na pokładzie i kreśliłem jak szalony, próbując uchwycić na szkicu masyw skalny, ale wiatr wciąż podrywał kartę i efekt mnie nie zadowolił.

Wkrótce znaleźliśmy się po drugiej stronie gór, gdzie . naszym oczom ukazała się ciągnąca hen leśna gęstwina, nad którą gdzieniegdzie unosiły się dymy sadyb i miasteczek otoczonych drewnianymi palami. Nim ujrzeliśmy pierwszych mieszkańców, coś załomotało o kadłub. To skryci wśród zieleni łotrzykowie czymś do nas strzelali, na szczęście nie wyrządzając żadnej krzywdy. Za dobry znak to wziąłem, że oto znaleźliśmy się we właściwym miejscu, bo gdy ktoś obcych atakuje bez słowa, to znaczy, że ma czego strzec.

Wierzcie lub nie, ale już za pierwszym razem szczęście się do nas uśmiechnęło. Oto na trakcie dojrzeliliśmy duży wóz w asyście zbrojnych. Przyznacie, że nie mogliśmy przepuścić takiej okazji, szczególnie że przecież nas tu jeszcze nie znali, więc nie spodziewali się ataku z góry. Raz-dwa zbliżyliśmy się cichaczem od tyłu, by zwisający na linach ludzie mogli zaskoczyć wroga.

A jaki to był wróg! Najpierw sądziliśmy, że to jakieś cudaki o czterech długich nogach i dwóch krótszych, wyrastających z boków, dwóch łbach i jednym ogonie. Ale jak uderzyliśmy na pierwszego, wnet wyszło na jaw, że dwie to istoty, z których ta na górze miała pomysłu, a ta większa na dole jedynie czyniła posługę.

Uwinęliśmy się, a jakże, i już po chwili wkoło leżały trupy, na które dwóch ocalałych patrzyło z przerażeniem. Dziwni byli, że hej! Łby szkaradne, całe owłosione, wypustki jakie z czoła wyrastające, żółte ślepia

zawistne i pyski psie trochę. Mieli łapska z czarnymi pazurami, a zamiast stóp kopyta. Rzucili broń i coś do nas mówili, jednak nie sposób ich było zrozumieć. Zresztą nikt się tym nie przejmował, bo na wozie znaleźliśmy skrzynię wypełnioną błyszczącym kruszcem. Złoto! Prawdziwe złoto!

Łup trafił do ładowni, a jeńców puściliśmy wolno. Rozpaleni euforią ludzie wylegli na pokład, by wskazywać nowe cele. Oj działa się, działa! Przez kilkanaście dni i nocy napadaliśmy na wozy i osady, by szukać w nich złota. Nie będę was kłamał, trochę go było, lecz nie tyle, co za pierwszym razem. Kilku marynarzy zginęło, kilku kolejnych odniosło rany. Dwa razy moi ludzie zasłonili mnie własną pierśią. Nie były to łatwe przeprawy. Ba! Każda kolejna okazywała się trudniejsza, szczególnie od szóstego dnia, gdy poczęto nas razić ogniem. Dobrze, że jezior i wstążek wodnych było pod dostatkiem, byśmy mogli napełniać beczki i w porę gasić pożary. Mało co spaliśmy, jeszcze mniej jedli, a krwi zakrzepłej nikomu nie chciało się zmywać. Przez to musieliśmy czynić upiorne wrażenie, nie gorsze niż te kudłate poczwary, które przed nami złota broniły.

Szesnastego dnia Czapmistrz zaczął nas namawiać do powrotu, na co przystałem, wiedząc, że ranni w tych warunkach nie wyżyją, lecz jeśli zajmie się nimi balwierz Hargadona, mają szansę wrócić do zdrowia. Ponadto choć ładowni nie zapełniliśmy w całości, zgromadziliśmy ogromny majątek. Nawet jeśli miał zostać podzielony na pół. Koło południa zaczęliśmy się więc szykować do powrotu.

Najpierw zarządziłem kąpiel, a potem sprzątanie całego okrętu, byśmy wracając w glorii i chwale, nie musieli się wstydzić. Patrzyłem z pokładu sterowego, jak się chłopcy zwinnie uwijają, i kiwałem głową z zadowoleniem, wzruszony, że oto jesteśmy w krainie, która dotychczas istniała tylko w bajkach. Wtedy jak nigdy byłem pewien, że z inną załogą nie podjąłbym się tego zadania. Że oto mam przed sobą najlepszych i najdzielniejszych; ludzi, którym mogłem ufać i którzy skoczyliby za mną w ogień. Patrzyłem, jak sprawnie mocują wszystko na pokładzie, jak zwijają liny i szorują deski. Znałem ich tak dobrze, wszystkich i każdego z osobna, że gdybym miał kiedykolwiek rodzonych braci, to większą stanowiliby dla mnie tajemnicę. Tyle wspólnie przeszliśmy – i głód, i liczne uczyty, i smutek, i radość, i walkę, i pokój... a teraz stanęły przed nami otworem niezbadane lądy, które podbijaliśmy ramię w ramię.

Nim do reszty odpłynąłem w zamyślenie, moją uwagę przyciągnął słup dymu wznoszący się ponad wierzchołki pobliskich drzew. Inny był niż te, cośmy dotychczas widzieli lub sami wzniecali: silny i smolisty, kłębiący tajemniczo, zupełnie jak gdyby ktoś ciął go na kawałki, nim uleci w niebo. Powiedzcie sami, kto na miejscu moim nie zechciałby odkryć jego źródła, by zaspokoić ciekawość?

Ognisko płonęło na obszernej polanie. Samotna postać co chwila tłumiała je derką, by wypuścić kłęb; co rusz także rozglądała się po niebie. Dostrzegłszy nasz okręt, rzuciła derkę na palenisko i zaczęła machać zapraszająco. Kazałem zrefować żagle i pozostać w pogotowiu. Podejrzewałem podstęp, lecz ciekawość wzięła górę nad strachem.

Osobnik, cały w ryżej szczecinie, widząc, że przykuł naszą uwagę, ostentacyjnie odrzucił broń i otworzył stojący obok kufer, byśmy blaskiem złota mogli nacieszyć oczy. Gestami dawał do zrozumienia, że możemy je zabrać, w czym nie zamierza nam przeszkadzać, co pokazał, znacznie się cofając.

– To pułapka! – syknął Czapmistrz.

– Albo zapłata za to, byśmy przestali ich nękać. – Klepnałem go w ramię.

Zwiesiłem się na linie – sam, by nie narażać ludzi. W razie jakiegokolwiek podejrzenia mieli mnie natychmiast wciągnąć na pokład i odlecieć. Gdy tylko stanąłem na ziemi, ruda postać poskubała się po rogu i przemówiła gardłowo, kalecząc naszą mowę:

– Szlachetne pan nad niebo y korab chmurzasty posłucha, co ja dać chce od pan mój, a co zamian bogato. – Nieznajomy zachichotał. – Bogaaato!

I tak właśnie żeśmy się pierwszy raz rozmówili, by zamiast walczyć, ubić interes. Nasz nowy sojusznik zdradził nam, że znaleźliśmy się w kraju Czartów, którym włada Peklenc. Sialiśmy wśród nich spustoszenie, ale nie zamierzali się na nas gniewać, bo cenili niezłomność i waleczność. Peklenc wysłał do nas swego wiernego sługę, Darmopycha, byśmy zawarli rozejm i dobili targu. Gdy spytałem, skąd zna nasz język, rzekł, że od pradawnych czasów władają nim ich kapłani, a on, jako że przyuczał się w świątyni, zapamiętał to i owo, choć z kapłaństwem wkrótce zrobiło mu się nie po drodze. Powiedział nam jeszcze, że znają tu podania o wietrznikach, co żeglują pod słońcem – a zatem o nas. Chichotał co jakiś czas i przebierał kopytami, jak tłumaczył, z zadowolenia.

A zatem Peklenc ofiarował nam złoto. Ponadto złożył ofertę – obiecał, że za okręt nasz da tyle kruszcu, ile ten będzie ważyć. Od razu odmówiłem,

syknąwszy, że „Gianca” nie jest na sprzedaż, lecz wtedy do rozmowy włączył się Czapmistrz, który rychło do nas dołączył, występując w imieniu Pana Pięciu Płanet. I obiecał Darmopychowi nie jeden, a nawet dwa okręty, z czego za jeden, owszem, przyjmie złoto, drugi jednak ofiaruje za darmo, w imię przyjaźni i przyszłych interesów między oboma władcami.

Darmopych wyraźnie się ucieszył i zaczął nas zapraszać na zamek Peklenca, lecz Czapmistrz zaproponował lepsze rozwiązanie:

– Z nami, przyjacielu, ruszaj w górę, w gościnę naszą, a gdy wnet tu wrócimy, będziesz już oba okręty swemu panu prowadził.

Darmopych aż się wkoło zakręcił z uciechy i wkrótce stanął na naszym pokładzie. Dla bezpieczeństwa, by po przekroczeniu dna powietrznego nie wpaść na jakichś piratów lub wrogów, musieliśmy żeglować, goniąc dryfujące wyspy Pana. Dopiero znalazłszy się bezpośrednio pod nimi, zamierzaliśmy wystrzelić w górę. Kurs ustalałem co wieczór, bo wiatrów tu nie znaliśmy i musiałem się orientować po gwiazdach. Było to trudniejsze o tyle, że z dołu nic prócz kłębiących się planet nie widzieliśmy, więc musiałem całą swą wiedzę o prądach wykorzystać, by naszych wysp z innymi nie pomylić.

Niebo płonęło karmazynem, gdy ogromna tarcza słońca topiła się w drgającym paśmie horyzontu.

– Po co wam okręt? – spytałem, korzystając z chwili, gdy Czapmistrz oddalił się do kubryku.

– Nam, nam! – Darmopych zachichotał i wskazał majestatyczne szczyty gór, które przesuwały się leniwie za burtą. – Tam droga, nie, nie ma, tam przekroczyć trudno, smoki nie dają, daleko. A za, na dole, tam my iść chcemy. Tam nasza poszła już raz i tam zdobyć przywiodła, o tak. Po to nam okręt, by nasza po zdobyć znów ruszyła.

– Zdobyć?

– O tak – zamlaskał. – Gładkie, krasne, miękkie! Delikatne takie, tak... gołe, bez futra, powiesz? Brzydkie? Nie. I robotne. Onych do pracy się nadają. Taki on nie kosztuje dużo, tyle co jeść i droga z za gór, a praca dobra, bo ony silny, choć czasem choruje. Ale silny, dobra praca z onych: i kopalnia, i młyn, i wszystko, co trudne i ciężkie. Tak, my onych chcemy, żeby nam pracowali. A samice – zachichotał – zła praca, słaba, ale inne dobra, ty wiesz co myślę, dobra do tego i inne.

– O niewolnikach mówicie?

– O onych. Iść nam daleko za góry, a tam osad bez liku, gdzie ony są i bronić się nie umie. My onych chcemy brać, co pójdą do praca. Młode ubić trzeba i za stare, tylko te między się nadają. Bardzo zadowoleni z tych onych, co przyprowadzili raz, lecz góry trudne i iść zła, ale z okrętem to inaczej. Okręt dobry, nad górami raz-dwa i onych dużo się zmieści. Wy też sobie onych weźmiecie, tak uradził, podzielimy się. Rozumiesz?

– Tak – Pokiwałem głową.– Rozumiem.

Wyliczyłem kurs raz jeszcze i przekazałem sternikowi korektę. Minąłem gwarny kubryk, tak by nikt mnie nie zauważył i nie próbował zaprosić do kompanii, a chwilę potem stanąłem w siłowni, gdzie kryształ pulsowały bladym światłem zakłętej w nich siły. Obróciłem w dłoni kamień w kolorze indygo. Jeśli chcesz, aby coś było wykonane należycie, wykonaj to sam – tak mawiał mi tatko i tak zawsze postępowałem. Ciekawe, czy byłby ze mnie dumny?

Ciekawe, czy matula drżałaby na myśl, że jej syn żegluje gdzieś w odległych światach. Ha! Syn, który został kapitanem! Mogłaby się tym chwalić na targu lub przy studni, gdzie kobiety lubiły plotkować. Jak dziś wyglądałaby nasza wioska?

Uśmiechnąłem się mimowolnie. Pewnie dużo by się nie zmieniło, tylko winorośl zarosłaby całą ścianę naszego domostwa, czego nie mogłem się nigdy doczekać. Ciekawe, jak dziś wyglądałaby Gianca. Czy nadal nosiłaby warkocze? Wyszedłem w chłód nocy wprost pod gwieździste niebo.

Łańcuch strzelistych gór wciąż ciągnął się opodal wstęgą ciemności, i tylko nieliczne szczyty białły, odbijając nikłe światło gwiazd. Góry, za którymi żyją ludzie. Dziesiątki, setki, tysiące ludzi. Ileż osad mijaliśmy wypełnionych gwarem, a ilu nie widzieliśmy na bezkresnej ziemi? I nigdzie, jak okiem sięgnąć, ani zamku, ani grodu żadnego, co mógłby być schronieniem lub obroną. Tak jak i nas nikt, przed laty, nie zdołał wziąć w obronę.

W pierwszej chwili pomyślałem, że starczy Darmopycha wyrzucić za burtę, lecz przecież i z Czapmistrzem musiałbym uczynić to samo. Mała strata, fakt, lecz na nic by się zdała, bo... Uwaga, trzymajcie się! To szarpnięcie to znak, że weszliśmy w dno powietrzne.

Okręt znów podskakuje i wierzga rufą. Co krzyczycie? Nie słyszę, bo wszechkwarc już syczy. Co? Ach, ta lina? Trzymajcie się lepiej! Słucham? Lina? Do kroćset, uparte z was nicponie! Ta lina jest ważna i dlatego w pętlę na jej końcu wkładam dłoń.

Co trzeszczy? Nie przejmujcie się, to tylko sznury, co trzymają szalupę przy pokładzie. Nie bójcie się, okręt się nie rozpadnie. Zatkajcie lepiej uszy! Mówiłem, żebyście się trzymali, to macie za swoje... Czemu zwalniamy? A co mamy robić, gdy wszechkwarc pękł przed chwilą? Tak, sznury za moimi plecami za chwilę trzasną i szalupa się uniesie. Ach, w końcu zrozumieliście! Tak, nocą przeniosłem na nią kryształ, a teraz przywiązałem się do niej liną.

Jak to dlaczego? Bez statków Czarty nie przekroczą gór, a jeśli nie powrócimy na wyspy, Hargadon uzna, że nie miałem racji i powrót nie jest możliwy. Nie żartujcie! Specjalnie kurs zmieniłem, by powrócić bezpiecznie do naszego świata, daleko od Pięciu Płanet. Co z załogą? Przykro mi, ale wiem, że nie utrzymaliby języka za zębami. A wy? Jak to czemu? Przecież sami chcieliście, bym wszystko wam opowiedział, więc teraz już nie mogę was zabrać ze sobą. Sumienie? I owszem, lecz kufer złota żal mój utuli. Drań? Może i drań, lecz żywy i bogaty. Żegnajcie!

Powrozy pękają. Pokład ucieka, zabierając przerażone twarze, które będą wracać w koszmarach. Ale wiem, że inne sny, które przysłyby, gdybyśmy wrócili, byłyby dużo straszniejsze. Długo nie mogę oderwać wzroku, zahipnotyzowany kurczącym się kształtem kadłuba i widokiem zerwanych przez wiatr żagli, które łopoczą po jego obu stronach jak złote warkocze.

Zastanawiam się, co na to wszystko powiedziałaaby Gianca. Mam nadzieję, że jednak by się uśmiechała.

Gianca

Copyright © Jacek Łukawski 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Joanna Mika, Michał Cetnarowski

Korekta – Michał Cetnarowski

Okładka – Jacek Łukawski

Ilustracja na okładce – Alexander Lesnitsky / pixabay.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-7924-798-1

ISBN MOBI: 978-83-7924-797-4

**Wejdź do Krainy Martwej Ziemi i przeżyj
ekscytującą przygodę!**

Sto pięćdziesiąt lat po powstaniu Martwej Ziemi z twierdzy granicznej wyrusza oddział żołnierzy, by wąskim przesmykiem przekroczyć zapomnianą krainę. W starym klasztorze u podnóża Smoczyc Górek ukryte jest coś, co musi powrócić do królestwa, zanim Zastona Martwej Ziemi pęknie i zaniknie. Nikt jednak nie przypuszczał, jaki los przygotowali dla nich bogowie i jak krucha jest równowaga znanego im świata.



Mocny debiut Jacka Łukawskiego,
w którym klimat wczesnego średniowiecza znakomicie
miesza się ze słowiańskim kolorytem

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Gianca](#)

[Strona redakcyjna](#)